

## Skid Row Thickskin

SPV

Era metalu suszarkowego, dominacji Whitesnake, Motley Crue i Skid Row, to były piękne lata. Pełne rozkrzyczanych grupies, młodych, pięknych i gotowych na wszystko. Sex, drugs & rock'n'roll - to hasło mówi wszystko. Do tego starte dzinsy, długie utlenione włosy i kiczowata muzyka, co ważne zawsze świetnie odegrana i zaśpiewana. Potem drzwiami i oknami wdarł się nieznoszny i brudny grunge, na zawsze zmieniając zasady rockowania. Wcześniej czy później musiały paść takie gwiazdy jak Skid Row właśnie. Dola idola to jednak twardy orzech do zgryzienia. Łatwo na scenę wejść, trudniej z niej zejść, ale najtrudniej powrócić. Niedłusiejsze gwiazdy pudeł metalu próbują wrócić z mierzonym raczej skutkiem. Nie mówię oczywiście o formacji Bon Jovi, która umiejętność dopasowywania się do otoczenia opanowała do mistrzostwa... Skid Row również zdecydował się powrócić na scenę. Decyzja to śmiała, bo w zespole nie ma już głównej atrakcji grupy - Sebastiana Bacha - najbardziej dziewczęcego frontmana tamtych dni. Pomijając wygląd, gardło też miał niczego sobie. Ale raz kozie śmierć! Bacha zastąpił niejaki Johnny Solinger, który razem z nowym perkusistą Philem Varonem oraz starymi wyjadaczami - Snałem, Hillem i Bolanem - nagrał nową płytę. Pozbawiona świecidełek, z beznadziejną okładką, zwyczajną książeczką i w zwyczajnym plastikowym pudełku. Za to wyróżniona pod względem muzycznym! Tak! Na wskrosz dorosła, mocna i cholemi rockowa. Płytę na której pełno zadymionych wzmacniaczy, metalowego feelingu i naprawdę niezłych partii wokalnych. Otwierający krążek „New Generation” to połączenie starego z nowym. Początek żywym wzięty z twórczości Marilyn Manson, ale bez obaw - to nieła zmyłka. Zaraz potem wchodzi ostry, rasowy wokal, który pozbawia nas złudzeń. Drugi numer znów z ostrym początkiem, ale dużo większym środkiem - do śpiewania w grupie, na spędach przy ognisku. Cudo! I tak jest do końca płyty, mocno i hiciarsko naprzemian. Pięknym kobietom polecam „See You Around”, chyba najlepszy na płycie szlagier. Niby pościelowa, ale z dynamiczną sekcją rytmiczną. I want more!!! Skid Row powrócił.

Lukasz Zieliński



## Tidfall Nucleus

Nuclear Blast

Istniejący od przeszło dziesięciu lat Tidfall, większość życia spędził w lodowatym, norweskim podziemiu. Wyłaził na powierzchnię za sprawą kontraktu z wytwórnią Samotha NAP, która wypuściła ich pierwszy, niezły album długogrający „Circular Supremacy”. Później, gdy Samotha pochłonęła jego niezliczone przedsięwzięcia i było jasne, że nie starczy mu czasu na solidną promocję drugiego albumu Tidfall, sprytni Norwegowie dostali się pod opiekuncze skrzydła Nuclear Blast. Druga płyta („Instinct Gate”), wydana już w niemieckiej stajni, była jednak bardzo kiepska i - przynajmniej - zapomniana o Tidfall. Teraz przystąpili do trzecim materiałem „Nucleus”. Mówi się o nich, że wykonują - cokolwiek to znaczy - cyber metal. Nie zapomnieli jednak, że metal to przede wszystkim gitary, wściekły jazgot, złość, nieokreślony wokal. Klawiszowe - choć niezwykle istotne - nie są tutaj dominującym elementem, nie rozmywiają gitar, nie zmniejszają albumu, dodają mu raczej nowego wymiaru, wzbogacają. Czy można zresztą oczekiwać od zespołu, który spędził część 2002 roku na trasie ze złym jak samo piekło Dark Funeral, że nagle pójdzie na kompromis i nagra płytę klawiszową, cukierkową, delikatną, nijaką? Nie. Muzyka Tidfall leży gdzieś w pół drogi między majestatyczną, rozpasaną symfonią metalową w stylu Dimmu Borgir („Mercury Mesh”), a ciężkim, potężnym uderzeniem gitar z płyt Satyricon czy Myrkskog („Psychotronic”). W porównaniu z poprzednią produkcją więcej na tym albumie energii i dzikości, mniej rozdętej symfoniki i smaczków. Ale - z drugiej strony - wciąż wyraźnie słychać tu niewolnicze wprost uwielbienie dla Emperor, którego duch unosi się nad albumem. Całości dopełnia charakterystyczne, mroźne, norweskie, ale selektywne brzmienie. Płytę wieniec zaskakujący „Tech” - utrzymany w średnim tempie atak ostrych gitar z ścią futurystycznym, klawiszowym podkładem techno, nieprzerwanie pulsującym w tle.

Maciej Bury



## Virgin Snatch S.U.C.K.

Mils Music / Mystic Production

Chciałbym napisać obiektywną recenzję tej płyty, ale to najpewniej nie jest możliwe. Nawet nie dlatego, że chłopcy z Virgin Snatch byli na tyle mili, że zaprosili mnie do studia i pozwolili przez kilka minut powarzyć do mikrofonu. Na pewno nie dlatego. Tym bardziej, że jak już fatyguję się tak wybiłna postać tyle kilometrów, to powinno się dać jej pospiewać ze trzy razy więcej. I nie ściszać na miksie. I nie ściszać... Nie jestem w stanie napisać obiektywnej recenzji Virgin Snatch, bo kibicując temu zespołowi z całego serca i nie mam ochoty na chłodną wnikającą analizę każdego dźwięku. Tym bardziej, że zawartość „S.U.C.K.” to metal bardzo energetyczny, ostro rwący do przodu i zmuszający raczej do machania łbem, niż refleksji. Wyjątek - nieznośnie patetyczną balladę „Before”, pozwolę potraktować jako żart. Nawet udany. Pozostałe numery to thrashmetalowe pociski, z odpowiednio wyważonym stosunkiem czasu do melodii. Trochę słychać w tym rockandrolowej dezynwoltury Acid Drinkers, ale jest też wściekły pazur późnego Testament, za co trudno się na Virgin Snatch gniewać. Wiedząc, kto tę płytę nagrywał, możecie łatwo wyrobić sobie zdanie na temat jej muzycznej zawartości. Co mógł wnieść Titus - wiadomo. Gitarzysta Grysik i wokalista Zielony do tej pory walczyli z żywiołem w deathmetalowym Death Sea i to też trochę słychać. Chociaż Zielony pięknie śpiewa, growlingu po nim tu nie oczekujcie. A sprawa całego zamieszania, założyciel zespołu, perkusista Jacko, bębni w kapeli Marka Piekarczyka, więc ciągnie wóz raczej w rockową stronę. Do tego goście. Fajne klawiszowe robaczki urozmaicające ściśle metalową materię wyprodukowali Jakub Kubica (Thy Disease, Delight) i realizator Ryszard Kramarski. Na gitarach pograli trochę Yanuary (Thy Disease) i Jacek Hiro (Sceptic, Dies Irae), a na bębnach blastami popisał się Pinokio (m.in. Sceptic). No i jest jeszcze ten biedny wokalista z Lux Occulta, którego ściszyli na miksie...

Jarosław Szubrycht



## Zyklon Aeon

Candlelight

Po wysłuchaniu tej płyty jedno jest pewne. Ostatnia trasa u boku Morbid Angel odcisnęła swe bardzo wyraźnie piętno na najnowszych dokonaniach Zyklon. Powtórka z Immortala sprzed kilku lat? Aż tak to bym nie przesadzał, bo Samoth i koledzy od początku grali w tym zespole, mniej lub bardziej charakterystyczny, ale jednak death metal. O czym zapewne większość z was wie, nie ma już w składzie Daemona, a jego miejsce zajął Sethdemon, który w młodości musiał bardzo lubić wokal Glana Bantona. I zostało mu to chyba do dziś, gdyż na „Aeon” jego głos powinien znaleźć sporo zwolenników wśród fanów bezcennej twórczości Bogobójstwa. Dla pełnego obrazu dodajmy, że podobnie, jak na „World Ov Worms” również i na „Aeon” pojawili się goście, a całość po mistrzowsku zmagistrowano w Akkerhaugen i Fredman (odpowiednio rejestracja i miksy). Najważniejsze jest natomiast to, że „Aeon” jest od swego poprzednika - bez mydła na oczach - zdecydowanie lepszy i ciekawszy. Każdy z dziewięciu utworów, jakie znalazły się na tym albumie emanuje sporą dawką mocy i różnorodnością rozwiązań. Całość wręcz porywa swą energią i kunsztem wykonania. Wydaje się, że Norwegowie osiągnęli tu Everest swoich możliwości. Prochu oczywiście nie odkryli, niemniej do „Aeon” radziliby podchodzić z dużym szacunkiem. Sztuka to nie jest, ale na pewno dobry deathmetalowy album, z którym spokojnie można się zapoznać i który niewątpliwie może się podobać. Szczególnie zaś w Polsce, kraju w którym wbrew koniunkturom, death metal wciąż jest na topie.

Bartosz Donarski



## Sweet Noise Rewolva

Pomaton EMI

Drapieżny „N.U.E.R.H.A. Death Rmx” w którym spotkali się Giaca (paszcza), Nergal (gitara), Paszcza i Docent (gary) to dobry powód do wspomnienia o nowej produkcji Sweet Noise na łamach naszego magazynu. Niestety, powód jedyny. Poza tym jednym ostrym numerem, „Rewolva” zawiera historie raczej hiphopowe, ludzkie kubowe. Niektóre świetne (jak mój ulubiony „Jesteś - Kondraki Remix” czy triphopowa „Manipulacja”), inne niepotrzebne. Jeszcze inne zabawne - jak „Nie było”, w którym słodko miłaczy Edytka Gorniak. Wszystkie są remiksami numerów z „Czasu Ludzi Cienia”. Tego typu wydawnictwa nigdy nie są równe, ale „Rewolva” na pewno broni się w swojej klasie. I poraża zawodowstwem nad Wisłą raczej nie spotykamy.

## Torture Killer For Maggots To Devour

Karmageddon Media

Torture Killer próbują szokować okładką (niemowlęta obgryzają panią zatopioną w kałuży krwi), tekstami (Muszę znaleźć sobie nowe ofiary / Zabijając ja / zabijając od nowa / I zerznąć półki krwawia) i muzyką (brutalny na maksa gore death metal). Ale wszystko to już było, w dużo bardziej ekstremalnej i frapującej formie. Maniakom gatunku na pewno przypadnie do gustu, ale jak ktoś z tego typu twórczością nie przepada, to ani się nie wystraszy, ani nie zainteresuje.

## Thunderstone The Buming

Nuclear Blast

Protegowani Stratovarius, którzy wykorzystując chwilowe zawirowanie w oboje mistrzów (zmiana wytwórni, zmiana składu) mają szansę na pokonanie kilku następnych schodów prowadzących na powmetalowy panteon. Bardzo sympatyczne dźwięki, zgrabne kompozycje, świetne brzmienie, nienaganny warsztat i co najmniej przywołali wokalista. A przy tym wszystko brzmi jakos bardziej świeżo i nowocześnie niż Stratovarius. Nie ma się co dziwić, w końcu to młodzież. Zdolna młodzież. Obok Dragonforce jeden z najbardziej interesujących młodych zespołów w tym gatunku.

## Wolverine Cold Light Of Monday

Elitist / Earache

Świetna płyta dla wszystkich, którzy lubią się śmucić przy świecach. Szwedzi z Wolverine do progmetalowego rozmachu rockaków z Pain Of Salvation dodali nieco postmetalowego nudziarstwa późnej Anathemy i teatralnej koturnowości najlepszych lat Savatage, a wszystko to przykryli chwytającą za serce historią o dziewczynie imieniem Sarah, której było w życiu bardzo źle. Nieco innych emocji oczekuje zrykłe od muzyki, ale nie powiem, słucha się tego bezboleśnie. Może nawet lepiej niż bezboleśnie, szczególnie w bardziej dynamicznych momentach. Jeszcze o Wolverine usłyszycie. Raczej wcześniej niż później.